Współczesny wymiar nieudanej próby Karskiego zatrzymania Holokaustu

David Strathairn jako Jan Karski w przedstawieniu „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, fot. Teresa Castracane

Monodram „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, której współautorami są Young i Derek Goldman, uwypukla ogromy ciężar misji Karskiego. Spektakl, prezentowany „off-Broadway” [w dniach 9 września – 16 października 2022 r.], miał swój debiut w Waszyngtonie jesienią 2019 r. i był także wystawiany przez Chicago Shakespeare Theater jesienią 2021 r.

Justine Jablonska *(Nowy Jork)*

Tłumaczenie: Bożena U. Zaremba

Mężczyzna wbija się w powietrze. Publiczność zamiera, po czym oddycha z ulgą, gdy ten bezpiecznie ląduje na deskach sceny. Jan Karski – dyplomata, działacz polskiego podziemia podczas drugiej wojny światowej i kurier, który przekazał światu informacje o ukrywanej wówczas Zagładzie, w czasie, gdy można było ją jeszcze zatrzymać – właśnie uciekł z rąk Gestapo, dosłownie prosto w ręce członków polskiego ruchu oporu, którzy przywrócą go do zdrowia.

Z melodyjnym wschodnioeuropejskim akcentem aktor grający Karskiego, David Strathairn, mówi publiczności, że po jego ucieczce, Gestapo aresztowało w ramach odwetu 100 Polaków. Potem rozstrzelało 32 z nich.

"Trzydzieści dwa istnienia ludzkie za życie jednego człowieka" powiedział mi współautor sztuki, Clark Young, określając tą scenę jako „moment dogłębnego poczucia klęski i traumy", jakie przeżywa bohater.

Monodram „Remember This: The Lesson of Jan Karski", której współautorami są Young i Derek Goldman, uwypukla ogromy ciężar misji Karskiego. Spektakl, prezentowany „off-Broadway"

[w dniach 9 września – 16 października], miał swój debiut w Waszyngtonie jesienią 2019 roku i był także wystawiany przez Chicago Shakespeare Theater jesienią 2021, kiedy miałam okazję go zobaczyć.

Sztuka w skuteczny sposób przypomina nam o zasadach wyznawanych przez Karskiego – prawdzie i odwadze w obliczu sił potężniejszych od niego. Dzięki niej studenci Uniwersytetu Georgetown, na którym prawdziwy Jan Karski wykładał stosunki międzynarodowe, mają możliwość zapoznania się z jego życiem i działalnością. Od 2020 r., specjalistka od pedagogiki inkluzyjnej, Ijeoma Njaka, prowadzi tam zajęcia w oparciu o tą sztukę.

„Pokazanie, że nawet w 'upadku' jest jakaś wartość, dla studentów jest ogromnie inspirujące" mówi Young. Porażka Karskiego, kiedy światowi przywódcy nie zrobili nic po otrzymaniu dowodów na trwający Holokaust, w rezultacie którego zginęły miliony ludzi, była rzeczywiście przerażająca.

Tak jak Karski, urodziłam się w Łodzi i, tak jak Karski po wojnie, ja także wylądowałam w Ameryce. Kiedy dwie przyjaciółki z dzieciństwa zaprosiły mnie, żeby zobaczyć „Remember This" w Chicago, w pierwszym odruchu wzbraniam się. Zaniepokojona wiadomościami z ojczyzny, walczę z polską częścią mojej tożsamości. Mam jednak do Karskiego ogromny szacunek, więc idę. I jestem niezmiernie wdzięczna. Słowo, prawda, dawanie

świadectwa – wartości dla mnie nieśmiertelne – teraz szczególnie są istotne.

David Strathairn jako Jan Karski w przedstawieniu „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, fot. Teresa Castracane

Jan Karski urodził się w 1914 r. Miał za sobą przygotowanie wojskowe i praktykę w dyplomacji. Na początku drugiej wojny światowej, po ataku Niemiec i Rosji na Polskę, przystąpił do właśnie formującego się podziemia. Pracował jako kurier, przekazując Rządowi RP na uchodźstwie wiadomości o tajnych

operacjach niemieckich i sowieckich okupantów. Pod koniec 1940 r. został aresztowany przez Gestapo. Torturowano go przez trzy dni. Obawiając się, że może zdradzić konspiracyjne tajemnice próbował odebrać sobie życie. Po próbie samobójczej dochodził do siebie w szpitalu wojskowym, dokąd przewiozło go Gestapo i skąd potem uciekł. Scena ucieczki jest w sztuce sceną przełomową.

„Remember This" rozpoczyna się na początku drugiej wojny światowej, kiedy Niemcy zakładają getto w Warszawie, umieszczając jedną trzecią jej mieszkańców na terenie zajmującym niewiele więcej jak dwa procent powierzchni miasta. Przywódcy Żydowskiego Podziemia aranżują wejście Karskiego do getta, aby mógł potem złożyć raport Rządowi RP na uchodźstwie, jak również brytyjskim i amerykańskim urzędnikom państwowym. Zarówno on sam jak i działacze żydowskiego i polskiego ruchu oporu uważali, że jeżeli powie światu, co się dzieje, a „możni tego świata" dowiedzą się o tym, będą mogli to zatrzymać.

Karski wszedł do getta w 1942 r. dwa razy i zobaczył horror, który nam dzisiaj jest dobrze znany: głód, śmierć i wyniszczenie. W przebraniu obozowego strażnika dostał się później do obozu przejściowego, z którego tysiące polskich Żydów transportowano do obozu śmierci w Bełżcu.

W 1943 r. Karski pojechał do Londynu i Waszyngtonu, żeby spotkać się z Winstonem Churchillem i Franklinem Delano Rooseveltem. Powiedziano mu, że Churchill jest zbyt zajęty i odesłano go do brytyjskiego ministra spraw zagranicznych. Karski spotkał się z Rooseveltem, który zwracał się do niego per „młody człowieku" i dopytywał się o los koni w Polsce, ale nie zadał ani jednego pytania o straszne wiadomości przywiezione przez Karskiego z niemieckich nazistowskich obozów zagłady.

„Powiedz swoim przywódcom, że wygramy tę wojnę" powiedział Karskiemu Roosevelt. „Stany Zjednoczone nie porzucą waszego kraju". Ale jak my dzisiaj wiemy, jak Karski oraz żydowscy przewódcy podziemia w Polsce dowiedzieli się później, wreszcie jak miliony pomordowanych nie miały już możności się o tym przekonać – ani Roosevelt, ani Churchill nie zrobili nic, żeby Holokaust zatrzymać.

Po spotkaniu z Rooseveltem Karski pozostał w Stanach Zjednoczonych. Opublikował swoje wspomnienia w 1944 r., a osiem lat później uzyskał doktorat na Uniwersytecie Georgetown w Szkole Służby Zagranicznej.

Był wykładowcą na tej uczelni przez czterdzieści lat, ale przez dziesiątki lat nie wypowiadał się publicznie na temat swoich wojennych przejść do czasu, kiedy w 1985 r. Claude Lanzmann przeprowadził z nim wywiad dla filmu dokumentalnego o

Holokauście pt. „Shoah”. W pierwszej scenie, kiedy Karski się pojawia, siedzi milcząco, łapiąc z trudem powietrze. „Teraz wracam [pamięcią]” zaczyna. Ale nie jest w stanie kontynuować. Załamuje się i odchodzi poza kadr. Traumę, która nadal go dręczy widać jak na dłoni. Po chwili Karski powraca i zaczyna powoli, z widocznym trudem opowiadać.

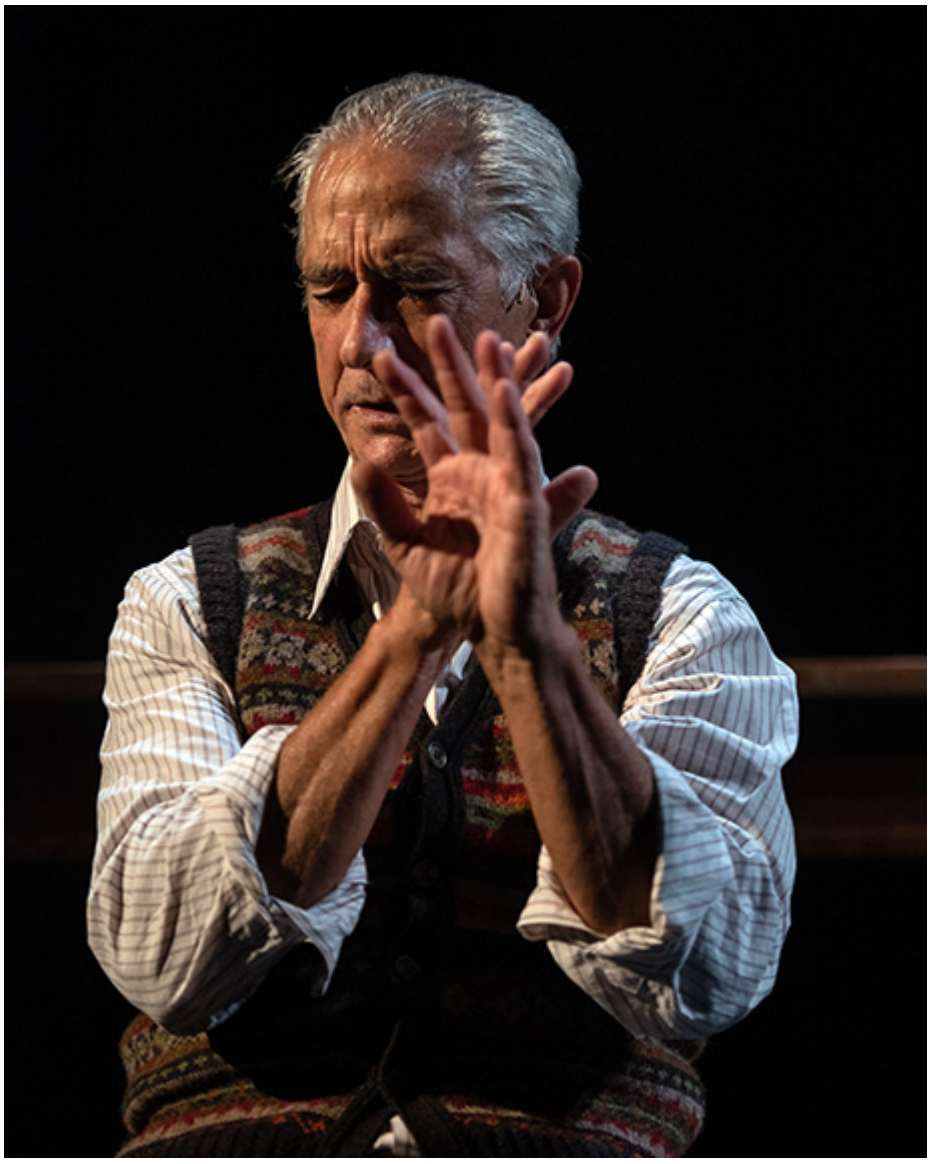

David Strathairn jako Jan Karski w przedstawieniu „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, fot. Teresa Castracane

W tym filmie dokumentalnym, Karski przytacza szczegóły swojego spotkania ze Szmulem Zygielbojmem, polskim przewódcą żydowskim, którego postać w dość wyraźny sposób jest zarysowana w sztuce. W przejmującej scenie Karski odczytuje list napisany przez Zygielbojma po zniszczeniu warszawskiego getta, podczas którego większość rodziny

Zygielbojma zginęła. Zygielbojm jest zrozpaczony, ale nadal wierzy, że coś da się zrobić. „Odpowiedzialność za zbrodnię wymordowania całej narodowości żydowskiej w Polsce spada przede wszystkim na sprawców, ale pośrednio obciąża ona również ludzkość całą, Narody i Rządy Państw Sprzymierzonych, które do dziś dnia nie zdobyły się na żaden czyn konkretny w celu ukrócenia tej zbrodni” mówi list – jak się okazuje – samobójczy.

Zygielbojm ma nadzieję, że jego ostateczny krok w końcu spowoduje działanie. Ale tak się nie dzieje.

Ijeoma Njaka z Georgetown przytacza zaciekłe debaty studentów Georgetown: „Co to znaczy, mówić, ogłaszać, jednocześnie żyć tą prawdą w sytuacji tak ogromnego sprzeciwu?” pytają jej studenci. „Także dyskutują nad sprawą bycia świadkiem traumy, która nie jest ich, co jest szczególnie istotne biorąc pod uwagę zaangażowanie wielu studentów w sprawy równości rasowej i społecznej”, dodaje.

Dla mnie te sprawy są także istotne i dlatego sztuka robi na mnie takie wielkie wrażenie.

Karski zmarł w 2000 r. Dziesięć lat później, przyjechałam do Waszyngtonu, żeby studiować w szkole dziennikarskiej, po czym pracowałam jako dyrektor programowy w Ambasadzie RP, w

której Karski się zatrzymał, gdy przyjechał ostrzec Roosevelta. Wszędzie czułam jego obecność: na korytarzach Ambasady, w Sali Błękitnej, gdzie organizowaliśmy imprezy i gdzie Karski siedział podczas wywiadów, które widziałam na YouTube. Pewnego lipcowego popołudnia, w rocznicę jego śmierci, towarzyszyłam przedstawicielom Ambasady, aby złożyć wieniec na jego grobie, na stromych wzgórzach Cmentarza Mount Olivet. Nagrobek jest surowy – tylko jego nazwisko i nazwisko jego żony, daty urodzin i śmierci. Byłam także przy jego ławeczce na Uniwersytecie Georgetown, gdzie Njaka prowadziła ostatniej jesieni swoje zajęcia o Karskim.

Pójście na „Remember This" to moja pierwsza wizyta w teatrze od początku pandemii. Siedziałam jak zahipnotyzowana. Robiłam notatki na programie. I płakałam.

Płakałam ze wzruszenia nad Karskim i jego odwagą, nad bojownikami ruchu oporu, którzy nieustannie mu pomagali, ale także za współczesną Polską – nad tym małym państwem, które tak wiele znaczy dla mnie i dla moich polskich rodaków, a prawdopodobnie nie tak bardzo wiele dla innych. Myślę o tym, że największa zbrodnia przeciwko ludzkości dokonała się na naszej ziemi i jak przerażająca to spuścizna. Zastanawiam się, jak głęboko tkwi trauma w tych z pośród nas, którzy potracili członków swoich rodzin i w tych, których rodziny przeżyły. (…)

Na końcu sztuki Karski mówi o tym, co widział i czego był świadkiem: „Dręczy mnie to. I chcę, żeby tak pozostało”. Mnie też dręczyło i dalej dręczy. I chcę, żeby tak pozostało.

Zdjęcia z przedstawienia były zrobione podczas spektaklu w Shakespeare Theater Company w Waszyngtonie, w październiku 2021. Autorka: Teresa Castracane.

*

Justine Jablonska

Justine Jablonska *jest amerykańską dziennikarką polskiego pochodzenia, autorką licznych artykułów, wywiadów i esejów. Obecnie pracuje jako redaktorka merytoryczna w Nowym Jorku.*

Esej był opublikowany w Zócalo Public Square pt.

”.

*

*

Historia przedstawienia: Sztuka „Remember This: The Lesson of Jan Karski” powstała w 2014 r. w The Laboratory for Global Performance and Politics na Uniwersytecie Georgetown, w ramach obchodów stulecia urodzin Jan Karskiego (wówczas pt. „Remember This: Walking with Jan Karski”). W rolę Jana Karskiego wcielił się David Strathairn, amerykański aktor filmowy i teatralny, nominowany do Oskara za rolę pierwszoplanową w filmie „Good Night, and Good Luck) i laureat nagrody Emmy. W ówczesnej formie, z wieloosobową obsadą, sztuka pokazywana była m. in. w Muzeum Dziedzictwa Żydowskiego w Nowym Jorku i w warszawskim teatrze IMKA (z udziałem studentów Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie). W formie monodramu po raz pierwszy została pokazana w 2019 r. na Uniwersytecie Georgetown, podczas obchodów 100-lecia Szkoły Służby Zagranicznej, gdzie Jak Karski był wykładowcą przez prawie 40 lat.

Od tego czasu sztuka była wystawiona na deskach teatrów amerykańskich, m.in. w Gonda Theater (Waszyngton), Chicago

Shakespeare Theater (Chicago), Shakespeare Theater Company (Waszyngton) oraz Theatre for A New Audience (Nowy Jork). W planie są pokazy w Polsce w 2023 r.

Twórcy: Clark Young i Derek Goldman (scenariusz), Derek Goldman (reżyseria), David Strathairn (jako Jan Karski). Na podstawie sztuki powstał film, którego premiera odbyła się w lipcu 2022 r. na Festiwalu Filmów Żydowskich w San Francisco. Więcej informacji na stronie Jan Karski Educational Foundation – partnera projektu: .

*

Zobacz też:

> Ambasadorzy spuścizny Karskiego

> Nieskończona dychotomia

Ambasadorzy spuścizny Karskiego

Karski Quartet, fot. M.C. Soult

W lipcu tego roku minęła 20. rocznica śmierci Jana Karskiego. Z tej okazji członkowie kwartetu smyczkowego pod nazwą Karski Quartet, udzielili wywiadu na temat swojego patrona. Karski

Quartet to międzynarodowa formacja młodych muzyków z Polski i Belgii, laureat Grand Prix na IV Międzynarodowym Konkursie „Triomphe de l'Art" w Brukseli. Kwartet zdobywa coraz szerszą publiczność nie tylko muzyką, ale także swoją szlachetną misją. W jego skład wchodzą: **Kaja Nowak** (skrzypce), **Natalia Kotarba** (skrzypce), **Diede Verpoest** (altówka, skrzypce) i **Julia Kotarba** (wiolonczela).

Bożena U. Zaremba: Jak powstał Karski Quartet?

Natalia Kotarba: Po raz pierwszy spotkaliśmy się w 2014 roku, kiedy zaczęłyśmy studiować z moją siostrą w konserwatorium muzycznym w Brukseli. Jeroen Reuling, u którego Julia wcześniej studiowała, miał silne przeczucie, że powinnam poznać francuskiego skrzypka, Philippe Graffin. Nie mylił się. Kaja i Diede, który jest Belgiem, byli już w jego klasie. Kiedy pierwszy raz ich usłyszałam, pomyślałam, że chciałabym z nimi kiedyś stworzyć zespół kameralny.

Kaja Nowak: Trzeba powiedzieć, że Philippe Graffin jest człowiekiem o bardzo silnej i niekonwencjonalnej osobowości i dużym temperamencie muzycznym. Jego ekspresja ogromnie nas inspiruje. Myślę, że nasza zbieżność temperamentów oraz muzycznych upodobań wynika zarówno z tego, jak on nas ukształtował, jak i z naszych wcześniejszych doświadczeń. Od początku byłam pod wrażeniem ekspresji i muzykalności

koleżanek i kolegi z naszego kwartetu.

Julia Kotarba: W 2018 roku spotkaliśmy się ponownie na *Festival Resonance's Academy*. Są to kursy muzyczne dla młodych, zapalonych kameralistów w małej miejscowości Ciney w Wallonii, organizowane przez kolejną ważną dla nas postać, wiolonczelistkę Amy Norrington. Podczas kursów mieszkaliśmy w pięknym dworku, gdzie codziennie odbywały się intensywne zajęcia w ramach muzyki kameralnej. Tam po raz pierwszy zagraliśmy razem… i coś naprawdę zaiskrzyło między nami.

Czy reszta Państwa też miała takie wrażenie?

Diede Verpoest: Tak, od razu poczuliśmy jakąś więź, energię i nić porozumienia na płaszczyźnie tego, co chcemy osiągnąć w muzyce. Publiczność też zwróciła wtedy uwagę na to, że mamy w sobie coś szczególnego, coś bardzo silnego i intensywnego. W ogóle, nasza koncertowa publiczność jest pod wrażeniem naszej charyzmy na scenie. To jest nasze *forte*.

Julia Kotarba: Ja miałam też poczucie, że mamy podobne widzenie nie tylko muzyki, ale i świata. Jesienią tego samego roku postanowiliśmy założyć zespół i wzięliśmy udział w konkursie „Triomphe de l'Art", na którym zdobyliśmy Grand Prix, co było kompletną niespodzianką, zważając na krótki staż naszego zespołu. Ta nagroda upewniła nas, że powinniśmy grać

dalej razem.

Natalia Kotarba: Od tamtego momentu kariera kwartetu nabrała szybkiego tempa. Przyjęliśmy propozycję udziału w programie String Quartet Studio w *Royal College of Music*, w Manchesterze oraz rozpoczęliśmy rezydencję artystyczną w Queen Elizabeth Music Chapelle w Belgii. Naturalnie zaczęły pojawiać się też pierwsze propozycje koncertów…

Julia Kotarba: …i poczuliśmy większą odpowiedzialność. Wtedy też powstał problem nazwy. Chcieliśmy, żeby coś znaczyła, jednocześnie nas reprezentowała, a także była nam bliska.

Dlaczego, więc Karski?

Natalia Kotarba: Po wygraniu konkursu, miałyśmy razem z Kają przyjemność pomagać naszemu profesorowi przy organizacji festiwalu „Traces". Był on poświęcony kompozytorom i osobom dotkniętym przez drugą wojnę światową czy też prześladowanym przez totalitarne reżimy. Między innymi, odbył się koncert poświęcony Janowi Karskiemu w Ambasadzie Polskiej w Brukseli, gdzie wykonywaliśmy utwory polskich kompozytorów. To Philippe podsunął nam wtedy pomysł, żeby nazwać kwartet imieniem Jana Karskiego. Po głębszym zapoznaniu się z jego wartościami okazało się, jak są nam wszystkim bardzo bliskie. Uważaliśmy też, że nasza działalność pomoże rozpowszechnić

jego historię.

Skąd u niego takie zainteresowanie?

Kaja Nowak: Philippe bardzo interesuje się historią drugiej wojny światowej i Holokaustu. Dużo na ten temat wie i osobiście podchodzi do tematu.

Julia Kotarba: Opowiadał nam też o filmie Clauda Lanzmanna „Shoah" i zainspirował nas do poszerzenia wiedzy na temat Karskiego. W Polsce, po drugiej wojnie światowej jego postać zniknęła z kart historii, aż do lat 90. Nasi rodzice znali Karskiego z radia Wolna Europa. Profesor Graffin był wstrząśnięty, że tylu ludzi nie wie nic na jego temat. Uważa, że jego historia zasługuje na zgłębienie i szerzenie w świecie. Karski nas zafascynował i stał się dla nas autorytetem do naśladowania. To jest ciekawy i nietypowy wybór, bo w sumie Karski nie miał nic wspólnego ze światem muzyki. Za to cenię moich kolegów z kwartetu, że byli otwarci na ten pomysł i że przypadł im do gustu.

Czy Pan wiedział coś na temat Karskiego?

Diede Verpoest: Nie, zupełnie nic. Moi rodzice też nic o nim nie słyszeli. Na początku byłem trochę sceptycznie nastawiony do nazwy, ale siła perswazji koleżanek spowodowała, że postanowiłem poczytać więcej na jego temat.

Jakie elementy jego spuścizny najbardziej do Was przemawiają?

Diede Verpoest: Przede wszystkim, podziwiam jego odwagę, że zdecydował się przedostać do getta i obozu przejściowego. Tyle razy narażał swoje życie, najpierw, żeby zebrać, a potem rozpowszechnić informacje. A niektórzy dalej mu nie uwierzyli. Trudno to zrozumieć. Później twierdził, że jego misja zakończyła się klęską, a przecież dokonał tylu bohaterskich czynów! Osobiście, Karski miał na mnie bardzo duży wpływ. Staram się wdrożyć jego wartości, zwłaszcza współczucie, które jest ogromnie ważne, a którego niestety ciągle w świecie brakuje.

Natalia Kotarba: Dla mnie współczucie też jest ogromnie ważne, a także traktowanie każdego człowieka na równi. Nasi rodzice zawsze nam o tym przypominali. W naszej rodzinie miłość, równość i szacunek dla każdego człowieka były najważniejszymi wartościami. Także odwaga w mówieniu prawdy i walka o wyższe cele.

Julia Kotarba: Mnie zaimponowała jego wola walki i oddanie misji. Karski jest według mnie ikoną humanitaryzmu. Poza tym był obywatelem świata, którego my także czujemy się obywatelami.

Kaja Nowak: W jego postaci najbardziej przemawia do mnie to,

że się nie poddawał. Też inspiruje mnie brak konformizmu oraz chęć pomocy i działania. Na okoliczność naszego wywiadu odświeżyłam sobie lekturę „Tajnego państwa", które uzmysłowiło mi z jakimi ogromnymi przeciwnościami Karski i inni członkowie polskiego podziemia musieli się zmierzać i jakie mieli niesamowite efekty. To jest bardzo ważne w naszych czasach. Te 75 lat względnego spokoju i dobrobytu trochę nas uśpiło, a przecież cały czas jest z czym walczyć. Walka z dyskryminacją, czy ze skutkami globalnego ocieplenia, to zagadnienia, w obliczu których koniecznie należy się zmobilizować. Trzeba informować, walczyć, zrzeszać się i próbować robić co się da.

Czy światowa pandemia spowodowała rewizję spuścizny Karskiego?

Natalia Kotarba: Wydaje mi się, że spuścizna Karskiego ma teraz szczególnie dogłębne wybrzmienie. Powinniśmy się nawzajem wpierać i szukać najlepszych, wspólnych rozwiązań, nie kierować się tylko zyskiem i naszym ego, ale przede wszystkim dobrem drugiego człowieka. Nie odcinać się, zamykać, ale wyciągnąć rękę, zapytać sąsiada, czy nie potrzebuje pomocy.

Julia Kotarba: Zauważa się teraz wyraźniej ludzi, którzy, tak jak Karski ryzykują swoim życiem, żeby pomóc innym. Mówię przede wszystkim o pracownikach służby zdrowia.

Diede Verpoest: Widzę wiele podobieństwa między obecnym kryzysem a historią Karskiego. Lekarze i pielęgniarki są w szpitalach świadkami okropnych rzeczy, ale wciąż są ludzie, jak, na przykład znajomi mojej siostry, którzy nie wierzą w to, co się dzieje. To jest niesamowite. Historia się powtarza. Ta cała sytuacja jest ogromnym wyzwaniem, zarówno pod względem emocjonalnym, ale też finansowym, bo rząd nie wspiera artystów. Z drugiej strony, duch czasu umożliwia refleksję nad życiem i tym, w jaki sposób chciałbym mieć kontrolę nad swoim losem.

Kaja Nowak: A ja zastanawiam się nad tym, jak to wszystko wpłynie na więzi społeczne i rodzinne. Europa wydawała się taka mała, a zamknięcie granic podczas pandemii zmieniło tą perspektywę. Zostałam praktycznie odcięta od rodziny, zwłaszcza myślę o mojej mamie, która mieszka sama. Też w świecie artystycznym toczy się dyskusja o przyszłość sztuki. Artyści walczą o przetrwanie. Zadaję sobie też pytanie, jaka jest rola sztuki w takich zmieniających się czasach, jaka była rola sztuki w czasie wojny. Przytoczę ciekawą historię Anity Lasker-Wallfisch, Żydówki z Wrocławia, która przed wojną była świetnie zapowiadająca się wiolonczelistką, jeździła do Berlina na nauki do najlepszych profesorów, a pod koniec wojny znalazła się w Auschwitz. I ta wiolonczela uratowała jej życie. Kiedy podczas tatuowania i golenia w obozie okazało się, że gra na wiolonczeli, skierowano ją do orkiestry obozowej, która grała rano i

wieczorem na wymarsz więźniów na apel. Miała przez to nieco łatwiej w brutalnych obozowych warunkach, dostawała większe racje żywności, dzięki temu pomogła też innym, między innymi swojej siostrze. Czy taki Lutosławski, który grywał w podziemiu nielegalne koncerty.

Karski Quartet, fot. Juri Hiensch

Czy Karski sprawia, że jesteście lepszymi muzykami? Lepszymi ludźmi?

Natalia Kotarba: Mam zdecydowanie poczucie wspólnej odpowiedzialności za to, jak się prezentujemy, jakimi jesteśmy ludźmi. Jan Karski jest przewodnikiem w postrzeganiu świata i

dokonywaniu wyborów. Osobiście bardzo doceniam, że jestem muzykiem. Muzyk to trudny zawód, ale bardzo piękny, ponieważ wierzę głęboko, że muzyka nie jest doznaniem tylko estetycznym, ale że dzięki niej możemy docierać głęboko do słuchacza na poziomie emocjonalnym. Jest to możliwe tylko wtedy, kiedy nasz przekaz jest prawdziwy i szczery. Najlepszym komplementem dla nas po koncercie jest usłyszeć, że udało nam się naszą grą przekazać coś ważnego, jak publiczność, na przykład, przeżyła retrospekcję swoich wspomnień albo muzyka napawała ich wspaniałymi emocjami. Głęboko wierzę, że muzyka może uzdrawiać, że może dawać nadzieję. Czasem zapominamy, że naszą duszę trzeba pożywić czymś pięknym i prawdziwym.

Kaja Nowak: Koncert powinien być formą katharsis, dzięki czemu muzyka dociera gdzieś do najgłębszych, często tłumionych emocji i myśli.

Julia Kotarba: Jedną z istotnych myśli przewodnich, jakie przyświecały Karskiemu, było, jak się zachować w sytuacji, kiedy możesz zrobić coś dobrego dla drugiego człowieka. Dzięki niemu, myślę, że stałam się jeszcze bardziej wrażliwa na krzywdę innych i staram się strach zamienić w odwagę, działanie oraz bezinteresowność. Umówmy się, że żyjemy w świecie, w którym wielu ludzi oczekuje czegoś w zamian za swoją pomoc. Widzimy to w różnych sytuacjach życiowych. To przeświadczenie, że można się dzielić z innymi i nie oczekiwać niczego w zamian daje

dużo wewnętrznej radości i poczucie misji, którą możemy zarażać innych dookoła. Dla Karskiego ważna też była akceptacja wszystkich ludzi bez względu na pochodzenie, rasę czy wyznanie. Pomaga nam to otworzyć się na innych, a w muzyce przekłada się na otwartość do współpracy z muzykami z różnych stron świata jak również na czerpanie z różnych gatunków muzycznych.

Niektórzy z Was mają za sobą przygodę z jazzem. Pani Natalia i Julia współpracowały na przykład ze wspaniałym polskim gitarzystą jazzowym śp. Jarosławem Śmietaną.

Natalia Kotarba: Tak, w czasach szkoły średniej w Krakowie (mówimy o latach 2005-09) nasza Mama bardzo nas namawiała na wstąpienie do zespołu jazzowego i wtedy poznałyśmy Jarosława Śmietanę. Był on cudownym nauczycielem i muzykiem. Zawsze miałyśmy z siostrą pociąg do improwizacji i grania ze słuchu, ale on dodał nam odwagi, pomógł nam się otworzyć na improwizację i wprowadził nas w świat jazzu.

Diede Verpoest: Ja też wychowałem się w otoczeniu różnych gatunków muzycznych, takich, jak jazz czy folk, mimo tego, że mój ojciec jest muzykiem klasycznym, altowiolistą (i moim pierwszym nauczycielem), a mama wiolonczelistką w Belgijskiej Orkiestrze Narodowej. Wykonywanie i zgłębianie muzyki innej niż poważna, którą gram na co dzień, jest dla mnie odskocznią.

W jaki jeszcze sposób doświadczenie z jazzem wpłynęło na Wasze muzykowanie klasyczne?

Natalia Kotarba: Po pierwsze, pomogło w komunikacji na scenie. A poza tym, jazz zostawia miejsce na spontaniczność, na tworzenie w danej chwili. Przez to każdy występ jest inny, unikalny.

Diede Verpoest: W szkole średniej nauczyłem się improwizować i było to fantastyczne doświadczenie. Będąc w konserwatorium miałem też zajęcia z improwizacji. To całkowicie zmieniło moje postrzeganie [muzyki poważnej]. Improwizacja płynie głęboko z duszy i może być niesamowicie żywiołowa, jeżeli tylko damy jej się ponieść. Dodaje też pewności siebie.

Kaja Nowak: Ja dodam, że w muzyce poważnej spontaniczność jest bardzo istotna. Oczywiście należy się trzymać tego, co jest napisane, ale jest tyle możliwości zwrotów, zmian, interpretacji. Najlepsi kameraliści to ci, który mają umiejętność spontanicznego reagowania na to, co grają inni. Trzeba być wrażliwym na drobne oscylacje partnerów. Przemysł nagraniowy i konkursy wymuszają perfekcyjność, a dążenie do perfekcji trudno pogodzić ze spontanicznością. A my przecież jesteśmy tylko medium, perfekcja nie może być celem samym w sobie. Przytoczę tutaj historię eksperymentu pod przewodnictwem Davida Dolana, pianisty, który zajmuje się improwizacją w

muzyce poważnej. Mianowicie w czasie dwóch koncertów, w których na jednym z nich grano muzykę improwizowaną, na drugim taką „po bożemu”, nałożono słuchaczom specjalne słuchawki. Późniejsza analiza wykazała, że u słuchaczy koncertu, gdzie była muzyka improwizowana pewne części mózgu były bardziej aktywne. Odczytywałabym to jednak subtelnie, tzn. nie myślę, że musimy nuty wyrzucić do kosza – po prostu interpretacja musi być świeża.

Naukowo udowodniono wpływ muzyki klasycznej na intelektualny rozwój dziecka, czy na pozytywnie odziaływanie nawet na procesy fizjologiczne człowieka. Mówicie sporo na temat emocjonalnego oddziaływania muzyki. Czy muzyka może mieć wpływ moralny?

Julia Kotarba: Już Pitagoras twierdził, że muzyka może wychowywać, że odpowiedni rytm, tonacja, a także instrumenty mają wpływ na postawę moralną człowieka i jego wolę. Twierdził, że możemy wykorzystywać muzykę, by leczyć duszę i dzięki niej osiągać wewnętrzną harmonię, co w moim odczuciu prowadzi do lepszych relacji z innymi ludźmi, do podejmowania lepszych decyzji. Nasza cywilizacja natomiast jest dość skomplikowana i muzyka, z drugiej strony, może być wykorzystywana do manipulowania ludźmi. Jak w filmie „Lista Schindlera”, gdy hitlerowcy mordują ludzi przy akompaniamencie muzyki Bacha. Z drugiej strony w filmie

„Pianista”, Niemiec nie wydaje Szpilmana z szacunku do jego gry i muzyki.

Jak mówimy o Władysławie Szpilmanie, to warto wiedzieć, że on przeżył dzięki muzyce też dlatego, że w czasie, kiedy się ukrywał, starał się zachować pewną dyscyplinę, nawet w głowie cały czas „czytał” nuty, a jego ojciec (zanim został wywieziony do obozu) grywał na skrzypcach, żeby oderwać się od wojennej rzeczywistości[1].

Julia Kotarba: Mogę się z tym utożsamić, gdyż podczas pandemii mieszkałam sama i ze względu na bezpieczeństwo nie spotykałam się ze znajomymi, bardzo często sięgałam po wiolonczelę i grałam dla własnej przyjemności nawet proste melodie, które przywoływały przyjemne wspomnienia i pomagają oderwać się od natłoku myśli.

Karski Quartet, fot. Rafael Martig

Praktycznie każdą polską rodzinę spotkało jakieś tragiczne doświadczenie związane z drugą wojną światową. Jak to było w Waszych rodzinach?

Natalia Kotarba: Moi pradziadkowie posiadali gospodarstwo pod Krakowem. Gdy przyszła wojna Niemcy zajęli ich dom, gdzie urządzili kwaterę główną, a całą rodzinę przenieśli do piwnicy. Zabrali im także konie i część jedzenia. Te historie znam od mojej babci, która bardzo emocjonalnie podchodzi do tych wydarzeń, a jej opowieściom zawsze towarzyszą łzy. Babcia opowiadała o tym, że piekli chleb dla polskich partyzantów i o przyjacielu pradziadka ze szkoły, Żydzie, który nazywał się Felek

Zinger. W czasie wojny, musiał się ukrywać, lecz pod osłoną nocy przychodził do moich pradziadków, a oni zaopatrywali go w jedzenie. Robili to ryzykując swoje życie i życie bliskich. Ale on był jak brat i uważali, że nie mogą postąpić inaczej. Pewnego dnia Felek już nie wrócił i dowiedzieli się, że został rozstrzelany. Poza tym brat prababci został rozstrzelanych przez hitlerowców, którzy urządzili łapankę po tym, jak młodzi chłopcy z okolic wysadzili niemiecki pociąg wiozący alkohol. Zebrali wszystkich młodzian na polanie, a potem co dziesiątego rozstrzelali. Historie babci o naszej rodzinie, a także postać Karskiego sprawiły, że te tematy wywarły duży wpływ na kształtowanie mojej osobowości. Również moja praca magisterska poświęcona była polskiemu skrzypkowi żydowskiego pochodzenia Józefowi Chasydowi.

Julia Kotarba: Nasza druga Babcia wspominała, że był to czas nieprzewidywalny, czas strachu i niepewności, ale opowiadała także o tym, że Niemcy traktowali ich z szacunkiem, ostrzegali przed nalotami, a małym dzieciom przynosili czekoladę. Nasza babcia była urodziwą dziewczynką z blond włosami i wzbudzała ich zaufanie. Jak trzeba było ich o coś poprosić albo zapytać to właśnie ona była łącznikiem.

Kaja Nowak: Ja też znam historie rodzinne z opowiadań babci, matki mojej mamy, z którą się wychowałam. Ludzie, którzy przetrwali ten straszny okres albo się zamykali i nie chcieli na ten temat nic mówić, żeby wyrzucić go z pamięci (tak jak Karski),

albo wręcz przeciwnie, mieli potrzebę dzielenia się. Babcia należała do tej drugiej grupy. Była chłopką, jedną z sześciorga rodzeństwa, bardzo ambitną i inteligentną. Mimo skromnych warunków życia, byli to światli ludzie, zaangażowani w politykę, oczytani. Miała pecha, że byłą dziewczyną i nie starczyło pieniędzy, żeby zapewnić jej pełną edukację. Brat babci poszedł do szkoły oficerskiej, walczył na wojnie, potem w podziemiu. Przeżył wojnę, ale namierzyli go komuniści. Ktoś go ostrzegł i wtedy schował się w domu na strychu. Kiedy funkcjonariusze NKWD przyszli do domu i zaczęli bić jego matkę, moją prababcię, on nie wytrzymał tego i dobrowolnie oddał się w ich ręce. Został zesłany na Syberię i wrócił po trzech latach z tak zrujnowanym zdrowiem, że w ciągu kilku lat zmarł na gruźlicę. Jego dwie siostry też zmarły na gruźlicę, jeszcze w czasie wojny. Pracowały w koszmarnych warunkach: Niemcy kazali im odśnieżać ulicę, bez odpowiedniego ubrania, bez butów. W jednej z nich, niesamowicie pięknej dziewczynie, podobno kochał się niemiecki oficer, ale oczywiście taki związek nie mógł mieć racji bytu… Te wojenne wspomnienia były częścią mojego dzieciństwa. Pamiętam też jeżdżenie na coroczne spotkania partyzantów, na których musiałam się „produkować” śpiewając partyzanckie piosenki. To z racji tego, że mój dziadek ze strony ojca był w partyzantce. Jego siostra zginęła walcząc w polskim podziemiu (mam po niej drugie imię).

Diede Verpoest: Sytuacja w Belgii była zupełnie inna niż w

Polsce. Niedawno moja babcia powiedziała mi, że jej brat zmarł w drodze do obozu koncentracyjnego w Buchenwald. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak duży wpływ miała wojna na moją rodzinę.

Czy Wasza publiczność koncertowa interesuje się historią Karskiego?

Natalia Kotarba: Tak, spotykamy się z ogromnym zainteresowaniem, często wzruszeniem. Na naszych koncertach staramy się wplatać historię i misję Karskiego. Po koncertach przychodzą do nas często młodzi ludzie z wieloma pytaniami. To niesamowita możliwość promocji spuścizny Jana Karskiego. Ale w naszych marzeniach jest stworzenie czegoś większego.

Julia Kotarba: Mamy w planie koncert lub cykl koncertów połączonych ze wspomnieniami o Karskim lub wykładem na jego temat. Polski Instytut w Paryżu jest zainteresowany zorganizowaniem koncertu na niedawno nazwanym jego imieniem placu. A na zakończenie naszych studiów w Manchesterze chcieliśmy zorganizować koncert połączony z prezentacją na temat naszego patrona. Uczelnia jest tym także bardzo zainteresowana.

Wyczuwam ciekawą dynamikę w Waszym zespole. Mówicie jakby jednym głosem. Czy macie lidera?

Natalia Kotarba: Nasze relacje są bardzo partnerskie. Wszyscy mamy wyraziste osobowości, ale przewodzi nam jedna misja i jedna miłość do muzyki. Decyzje podejmujemy jednak demokratycznie, wspólnie. Nie jest to trudne, bo członkowie naszego zespołu są nie tylko wspaniałymi muzykami, ale także wyjątkowymi ludźmi. Jesteśmy przyjaciółmi i dbamy o te relacje.

Diede Verpoest: W muzyce kameralnej, zazwyczaj jedna osoba jest liderem, zwłaszcza w utworach wczesnych epok. To Kaja ma wtedy partie solistyczne, a reszta jedynie wspiera linię melodyczną. Zaczynając od epoki Romantyzmu, każdy głos staje się bardziej równoważny. Podoba mi się to, chociaż nie jest to łatwe w realizacji. Porozumienie między członkami zespołu jest wtedy bardzo istotne, dlatego, że mamy do czynienia z ludzkimi emocjami. Trzeba być bardziej wyczulonym na to co grają i odczuwają inni oraz współpracować z nimi. Celem jest znalezienie wspólnej wizji oraz jednolitego brzmienia i interpretacji.

Kaja Nowak: Rzeczywiście tak jest, że w tych starszych utworach pierwsze skrzypce mają najwięcej nutek, a temu, kto ma bardziej wyeksponowaną partię, na pierwszy rzut oka łatwiej jest decydować o kształcie frazy. Czasem te nutki to wirtuozowskie popisy, ale czasem pełnią też rolę ozdobników, które mają tylko podkreślać całą strukturę. Zresztą środkowe głosy i bas mogą wpływać na linię melodyczną w przeróżne,

subtelne sposoby, a ich inteligentne prowadzenie ma olbrzymie, choć być może trochę niedoceniane, znaczenie w interpretacji utworów muzycznych. Bach na przykład w swojej orkiestrze uwielbiał grać na altówce! No i oczywiście wszyscy cały czas dzielimy się uwagami.

Julia Kotarba: Kaja ma, poza tym niezwykłe zdolności oratorskie i często przed koncertem prowadzi wstęp słowny.

O czym?

Kaja Nowak: Często o utworze, jaki gramy albo o kompozytorze, ale według mnie, najważniejsze jest nie to, o czym się mówi, ale żeby w ogóle coś powiedzieć. Jak na scenie muzyk wyjdzie z tej swojej persony, z tego oczekiwanego schematu i próbuje nawiązać kontakt z publicznością w jakiś inny sposób, ona zawsze pozytywnie na to reaguje i wydaje mi się, że potem inaczej, lepiej słucha. Miło wspominam na przykład taki poranny koncert, jaki graliśmy we wrześniu na festiwalu w małym belgijskim miasteczku Knokke. Koncert był na zewnątrz, co na ogół muzykom nie odpowiada, bo zmienia się temperatura i wilgotność, akustyka jest nienajlepsza. Ale otoczenie – rezerwat przyrody – było przepiękne i z pewnością wpłynęło to na odbiór muzyki. Graliśmy z werwą i czuliśmy, że publiczność słucha nas z uwagą, ale słońce coraz bardziej się wznosiło, instrumenty zaczęły się rozstrajać i na domiar złego zerwał się wiatr. Kartki z

nutami zaczęły fruwać, jak w kreskówce, ludzie z pierwszych rzędów pomagali je zbierać. Panie pożyczały spinki do włosów, żeby te kartki spiąć [*śmiech*], i stawiały przed nami nuty otwarte na niewłaściwych stronach. W jednym momencie musieliśmy się zatrzymać, co wywołało salwy śmiechu. To wszystko wytworzyło świetną atmosferę, publiczność była wyjątkowo zaangażowana i pomimo tych wszystkich katastrof (a może właśnie dzięki nim) słuchała bardzo uważnie. Na koniec dostaliśmy olbrzymie brawa. Akurat w tym dniu, w Brukseli i innych miastach na całym świecie organizowano masowy protest ekologiczny i przed bisem, na który mieliśmy przygotowaną aranżację pięknej melodii ludowej, zdecydowałam się powiedzieć, że gdybyśmy nie grali dzisiaj tego koncertu, bylibyśmy na tym proteście. Wyjątkowe otoczenie świetnie ilustrowało, o co w tych protestach chodzi i ludzie byli naprawdę wzruszeni.

Karski Quartet, fot. Juri Hiensch

Na stronie zespołu jest takie niesamowite zdjęcie, na którym stoicie w rzędzie ze smyczkami wzniesionymi w kierunku nieba. Można by się doszukiwać jakiejś symboliki…

Julia Kotarba: Muszę przyznać, że za każdym razem, jak patrzę na to zdjęcie przechodzi mnie taki pozytywny dreszcz. Jest w nim rzeczywiście jakieś magiczne przesłanie. Ta pozycja jest oznaką siły i kojarzy mi się z gotowością do podbijania świata.

Diede Verpoest: W tej postawie, ze smyczkami skierowanymi w tym samym kierunku, jest faktycznie jakaś moc. To oznacza, że

mamy wspólne cele.

Natalia Kotarba: Rzeczywiście jak je zobaczyłam, to pomyślałam, że te smyczki są jak różdżki, którymi chcemy zmienić świat. Mój dziadek zawsze powtarzał: „Pierś do przodu i patrz wysoko”. Czyli trzymamy się mocno, ale z pokorą i zawsze z uśmiechem, zawsze w stronę światła. Poza tym ciągle podnosimy sobie tę poprzeczkę i jest w nas przekonanie, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Wywiad został skrócony. Pełny tekst wypowiedzi w języku angielskim może przeczytać na stronie: https://www.jankarski.net/en/news-and-events/news/ambassadors-of-the-jan-karski-legacy.html.

Strona kwartetu: www.karskiquartet.com

---

[1] Zapraszamy do przeczytania wywiadu (w języku angielskim) z synem pianisty, Andrzejem Szpilmanem, w którym opowiada o przeżyciach swojego ojca podczas wojny i nie tylko: www.chopinatlanta.org/interviews/AndrzejSzpilman.html

Nieskończona dychotomia

Z Anną VanMatre rozmawia Bożena U. Zaremba

Dnia 25 maja w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu odbyło się otwarcie wystawy pt. „Tym, którzy ostrzegają…” przedstawiającej tryptyk **Anny VanMatre**, polskiej artystki mieszającej na stałe w Stanach Zjednoczonych, która poświęciła swoje dzieło pamięci **Jana Karskiego**. Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży mieści się obok Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Otwarciu wystawy towarzyszył koncert amerykańskiego saksofonisty i kompozytora jazzowego **Ricka VanMatre**, który zaprezentował między innymi utwory *Villanelle* i *Wewnątrz powyżej,* również zadedykowane Karskiemu.

Anna VanMatre w MDSM, fot. Steve Oldfield.

Bożena U. Zaremba: Jak powstał pomysł zadedykowania Pani pracy Janowi Karskiemu?

Anna VanMatre: Kiedy zostałam zaproszona do zrobienia wystawy w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu, zaczęłam zastanawiać się nad koncepcją tego projektu. Wydawało mi się, że wiem wszystko na temat drugiej wojny światowej, bo wyrosłam w Polsce powojennej, znałam ludzi, którzy przeżyli Auschwitz. Na przykład ojciec mojej przyjaciółki był królikiem doświadczalnym eksperymentów medycznych Dr. Mengele. Niestety umarł potem młodo, bo był bardzo pokiereszowany. Moi rodzice też przeszli przez

najrozmaitszego rodzaju wojenne problemy. Ale mimo to zaczęłam dużo czytać na temat wojny, oglądać zdjęcia i filmy, i nagle ta rzeczywistość okazała się jeszcze bardziej przerażająca niż mi się wydawało. Potem nie mogłam spać po nocach. Któregoś dnia rozmawiałam z Kayą Mirecką-Ploss[1], z którą się przyjaźnimy od lat, i powiedziałam jej, że chciałam zadedykować tę wystawę Karskiemu. Jeszcze za jego życia, kiedykolwiek spotykaliśmy się razem, zawsze wracaliśmy do tematu Zagłady Żydów. Karski miał nieustające wyrzuty sumienia, że nie mógł pomóc, że nie udało mu się zatrzymać Holokaustu. To był taki obłęd, który prześladował go przez całe życie. Kaya powiedziała, że to genialny pomysł. Zatytułowałam tę wystawę „Tym, którzy ostrzegają…". Karski był jednym z pierwszych, który próbował ostrzec świat.

W jakich okolicznościach poznała Pani Karskiego?

W 1996 r. zaczęłam współpracować z Amerykańskim Centrum Kultury Polskiej w Waszyngtonie, którego dyrektorem była wtedy Kaya Mirecka-Ploss. Centrum organizowało coroczny tzw. „Testimonial Dinner", na którym wyróżniano osobistości, które przyczyniły się do propagowania dobrego imienia Polski. Pierwsza gala, którą razem zorganizowałyśmy odbyła się w 1998 r. Zaprojektowałam na tą uroczystość zaproszenie i program. Osobami, które zostały wówczas wyróżnione byli właśnie Jan Karski, także Zbigniew Brzeziński i Alexander Haig. Wtedy

właśnie poznałam Karskiego. Kaya znała go bardzo dobrze, przyjaźnili się przez 30 lat, ona się nim opiekowała po śmierci jego żony, a potem szczególnie pod koniec jego życia. Oni byli w ogromnej bliskości i serdeczności, i wzajemnie się wspierali. Jak poznałam Karskiego, był już chory, na białaczkę. Leczenie bardzo go osłabiało.

Jakim był człowiekiem?

Starej daty *gentelmanem*. Zawsze szarmancki i uprzejmy i zawsze elegancko ubrany. Pamiętam, że jak przyjeżdżałam po niego (on nie prowadził samochodu), pierwszy podchodził do samochodu, żeby mi otworzyć drzwi od strony kierowcy i potem, ledwo idąc i opierając się o samochód, żeby nie upaść, przeszedł dokoła, do swoich drzwi. Oczywiście chciałam zrobić odwrotnie, ale nie, mowy nie było. Zatrzymywałam się wtedy u Kayi, w gościnnym pokoju. Karski miał swój pokój, urządzony specjalnie dla niego, a wieczory spędzaliśmy razem na rozmowach. Karski już wtedy nie wykładał i cieszył się, że ma słuchacza, a ja słuchałam go z wielkim zainteresowaniem. Czasem chodziliśmy do restauracji. Zawsze zamawiał Manhattan, bo to był jego kultowy drink. Jadał malutko. Zawsze gentlemański, nigdy nie przyznawał się, że cierpi. A jak zasłabł, to Kaya zawoziła go do szpitala i nie raz przesiedziała z nim w szpitalu całą noc. Karski był człowiekiem o silnych przekonaniach moralnych, gdzie wszystko musiało być prawe, a ludzie uczciwi i prawdomówni.

Był przy tym ciepłym, wrażliwym człowiekiem, chociaż tego nie pokazywał, zwłaszcza ludziom, których nie znał.

Jego wrażliwość przebija jednak w jego wypowiedziach publicznych, na przykład w sławnym wywiadzie do filmu „Shoah".

Tak, właśnie. Poza tym on zawsze był pełen pasji, do wielu spraw podchodził bardzo emocjonalnie, a kiedy się skupiał nad czymś w danym momencie – tylko to się liczyło.

Co według Pani jest najistotniejsze, jeżeli chodzi o jego spuściznę?

Myślę, że jego przesłanie, żeby ten horror nigdy więcej się nie powtórzył. To chciałam też podkreślić w swojej pracy.

Czy obraz powstał po tym jak Pani zdecydowała się dedykować go Karskiemu?

Tak, od początku wiedziałam, że chcę tę wystawę jemu zadedykować.

W jaki sposób historia Karskiego wpłynęła na tematykę Pani pracy?

Praca jest poświęcona jego pamięci i oczywiście tematy tragedii wojennych przewijają się w jego wypowiedziach i książce, ale bezpośrednich relacji nie ma. To jest moja interpretacja na podstawie moich osobistych przeżyć i lektury książek.

Wspomniała Pani o losach swojej rodziny. Może Pani powiedzieć coś więcej na ten temat?

Moja mama przeżyła Syberię, bo jej rodzina została wywieziona pod karabinami do obozu pracy i zagłady w Kazachstanie. Część rodziny przeżyła, ale jak im się to udało, to naprawdę nie wiem, nie jestem w stanie tego zrozumieć. W każdym razie to, co opowiadają było okropne. Ojciec natomiast był żołnierzem AK. Na wschodzie na Wołyniu został bardzo ciężko ranny. Rano znaleźli go Niemcy na polu bitwy i on ich prosił, żeby go zabili, a oni myśląc, że jest Niemcem (świetnie mówił po niemiecku), wzięli go do niemieckiego szpitala, gdzie zrobili mu operację. Potem uciekł. Przypadki, czy cudowne ocalenia?

Jakie jest przesłanie Pani obrazu?

Chciałam, żeby to był mocny przekaz. Centrum jest tuż obok Muzeum w Auschwitz, a Auschwitz to miejsce, gdzie zadaje się fundamentalne pytania o sprawiedliwość, miłość, prawdę. To miejsce, gdzie cywilizacja kompletnie legła w gruzach i gdzie nie liczyły się żadne wartości. Moim celem było sprowokowanie

odbiorcy do myślenia i wywołanie u człowieka uczucia empatii. Uważam, że mocna sztuka jest najlepszą lekcją, szczególnie dla młodego pokolenia, które często niewiele wie, albo nic nie wie, albo nie chce wiedzieć, co się wydarzyło w tym miejscu, o tym jednym z największych historii ludzkości masowym mordzie. Chciałam przedstawić atmosferę strachu, terroru, horroru, takiego unicestwienia, życia pomiędzy strachem a śmiercią, a jednocześnie pokazać eteryczność i kruchość ludzkiego istnienia. Jeżeli człowiek jest w stanie pojąć cierpienie tych ludzi i przenieść to na własne uczucia, to nigdy więcej to się nie wydarzy, bo nikt nie chciałby znaleźć się w takiej sytuacji. Takie były w każdym razie moje intencje.

Pani praca jest tryptykiem, o łącznej długości 21 metrów.

Tak, to są trzy ściany ułożone w kształcie litery „u”: ściana lewa, ściana centralna i prawa. Historia zaczyna się od lewej strony: przyjazd do obozu, ciemna noc, wyjście z pociągu, oszołomienie, totalna konsternacja. To wszystko było potworne – zdezorientowani, nieświadomi niczego ludzie, którzy z tego „normalnego świata”, nagle się znaleźli w koszmarze, którego się nie spodziewali, którego nie byli w stanie przewidzieć. Wszyscy spodziewali się najgorszego, ale nikt się nie spodziewał niewyobrażalnego. A to, co tam było to było niewyobrażalne. Starałam się narysować to wszystko, te dymy, te ognie, popiół. Człowiek był w tym zamknięty, bez możliwości odwrotu. Ta cała

narracja toczy się przez ogień i dym, czasami czarny, czasami szary, mglisty, przysłaniający widok. Na centralnej ścianie jest niewielki element pięknego błękitnego nieba. To jest taki symbol jedynego kontaktu ze światem zewnętrznym, z wolnym światem, bo patrząc w niebo nie widać było drutów ani płomieni i dymów.

Czy też symbol nadziei?

Być może, bo ten moment, kiedy człowiek patrzał w ten błękit, to myślał: „Może stąd wyjdę, może mi się uda". Ludzie, którzy opisywali swoje przeżycia obozowe, zawsze mówili, że starali się żyć dniem dzisiejszym. Nikt nie myślał o tym, co będzie za miesiąc, za dwa, za rok. Chodziło o to, żeby przeżyć do końca dnia. Wybierało się jakieś okruchy do jedzenia, starało się utrzymać choć minimalną higienę. Takie zajęcie się sobą i prawie nikt nie był w stanie pomóc innym. Byli oczywiście ludzie, którzy przy tym okrucieństwie i upodleniu, potrafili myśleć o drugim człowieku – organizowali ekstra porcje kawy czy zupy, czy pomoc lekarską, przemycali różne rzeczy. To było bohaterstwo. Ale to było jednocześnie występowanie wbrew samemu sobie, bo każda energia zużyta na kogoś innego była energią straconą.

Ale wróćmy do tego, co przedstawia Pani obraz…

Poza tym niewielkim fragmentem niebieskiego nieba, wszędzie jest dym i ogień, nieustannie płonący, bo tam nie było przerw.

Piece działały dzień i noc, i wszyscy o tym widzieli i czuli ten potworny swąd i myśleli – dzisiaj ktoś inny, a jutro będę ja. Potem przechodzimy do ściany prawej, która jest chyba częścią najbardziej dramatyczną, esencją terroru i horroru. Tryptyk kończy się pożogą: dymy są czerwono-purpurowe, jakich wcześniej nie malowałam. Tam nie ma *happy-endu* – niestety. Nawet jeżeli jakaś garstka ludzi się uratowała, jeżeli nawet wrócili do powszedniego życia, nie było tam według mnie normalności. Chyba to jest niemożliwe.

Tryptyk Anny VanMatre

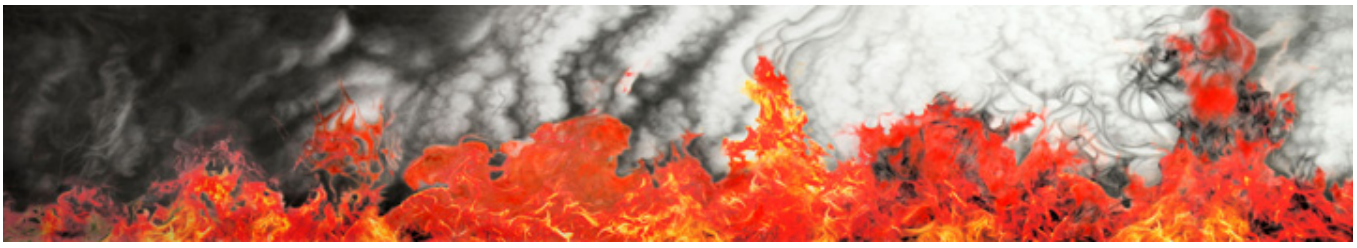

Lewa ściana instalacji

Centralna ściana instalacji

Prawa ściana instalacji

Porozmawiajmy też na temat warsztatu. Rozumiem, że użyła Pani techniki multimedialnej.

Tak, tak można to nazwać. Posłużyłam sią fotografią cyfrową. Użyłam około 100 zdjęć samego ognia wielu fotografów i potem te zdjęcia nakładałam na siebie na komputerze, używając różnych programów. Zrobiłam wielowarstwowe kolaże, przetwarzając te zdjęcia na mój własny sposób. Potem je wydrukowałam na wielometrowym, syntetycznym papierze, a dymy i chmury rysowałam ręcznie używając grafitu i pasteli. Niektóre partie fotograficzne ognia są również podmalowane pastelami.

Patrząc na Pani inne prace, można zauważyć, że dominującym tematem jest natura.

Tak, natura jest moją największą inspiracją. Staram się pokazywać obrazy, który są ewidentnie nastawione na ochronę

środowiska. Takie jest moje przesłanie artystyczne. Miałam na przykład całą serię obrazów po wypadku w Czarnobylu: gigantyczne, czarno-białe plansze, często trójwymiarowe, rysowane grafitem. Czasem czuję, że to jest taki głos w pustkę, ale może ktoś wreszcie usłyszy. Miałam też serię poświęconą World Trade Center. Esencję tej tragedii wyraziłam w wertykalnych dyptykach, które są równocześnie przerażające i wizualnie piękne. Chciałam to zatrzymać, zamknąć w jednej sekundzie. W mojej twórczości jest taka dychotomia – pokazuję piękno natury, ale czasem jest to okrutne piękno, bo wybuch wulkanu jest przecież piękny, ale jednocześnie niszczy całe okolice i zabija ludzi.

Z jednej strony zatrzymanie w czasie, ale z drugiej strony, przez zestawienie obrazów o tej samej tematyce, nadaje Pani dziełu dodatkowy wymiar, tj. wymiar czasu…

Tak, staje się to jakby opowieścią. Jakby na jednym obrazie było za mało miejsca na opowiedzenie historii. Tak samo jak moje *Metamorfozy,* które wiszą w Filharmonii Krakowskiej.

Właśnie, proszę opowiedzieć coś o tej współpracy i spotkaniu z Krzysztofem Pendereckim.

Krzysztofa Pendereckiego poznałam w 1999 roku, kiedy był gościem Orkiestry Symfonicznej w Cincinnati, która poprosiła

mnie o zrobienie wystawy podczas trwania koncertów. Penderecki był ciekawy, czy nie mam czegoś, co jest związane z jego sztuką. Postanowiłam, że zrobię specjalną serię. Wybrałam jego *II Koncert skrzypcowy „Metamorphosen”* i zrobiłam swoje *Metamorfozy* do jego utworu, a jak kilka lat temu Filharmonia Krakowska ogłosiła Rok Pendereckiego z okazji 80. rocznicy jego urodzin, zaprosiła mnie na otwarcie sezonu. Przywiozłam swoje prace i zostały na stałe zainstalowane w Krakowskiej Filharmonii. To też jest taka opowiastka – siedem paneli, jak siedem dni tygodnia, siedem bram Jerozolimy, siedem cudów świata. Ta siódemka u Pendereckiego też się powtarza. Mówiąc więc o opowiastkach – znowu mało miejsca, żeby opowiedzieć jakąś historię, tak samo w Oświęcimiu, gdzie jest aż 21 metrów i gdyby było więcej miejsca pewno bym dalej snuła te opowieści w nieskończoność. Jakoś nigdy nie mam wystarczająco dużo powierzchni, żeby się wypowiedzieć.

Nam miejsca chyba też nie wystarczy na wszystkie fascynujące opowieści o Pani pasjach [*śmiech*]. Nie zawsze artysta potrafi tak interesująco mówić o swojej sztuce.

Dziękuję bardzo, staram się robić to co robię, żebym nie musiała mówić [*śmiech*]. Ale większość ludzi chce usłyszeć, co ta sztuka mówi. Poza tym nie zawsze się to widzi. Na przykład mam serię *DeNatural Disaster* o tym, jak Ameryka włączyła się do wojny w Iraku. To było dla mnie ogromnym szokiem – że mamy XXI wiek i

nagle wojna? Byłam wściekła robiąc te obrazy. To była absolutna furia! Taki głos artysty „Zatrzymać. Absolutnie nie!” I jak się patrzy na te moje obrazy to nie wiadomo, czy to jest dzieło natury czy to jest niszczące dzieło człowieka, który ingeruje w tą naturę, czy to jest wybuch wulkanu i czerwona lawa, czy to jest pole bitwy i lejąca się krew.

Większość Pani prac jest monochromatyczna, ale w tych odcieniach szarości nagle pojawia się jakiś kolor kontrastowy, np. czerwony. W ten sposób buduje Pani dramaturgię.

Tak się staram. W tryptyku poświęconym Karskiemu oprócz szarego posługuję się głównie czerwonym, jest trochę żółtego i pomarańczowego. Jedynym kolorem kontrastowym jest błękitne niebo. Wszystko w tym obrazie się przewala i kłębi, i jest w nieskończonym ruchu. Te chmury są czasem chmurami, a czasem dymami i ta całość też nie jest jednoznaczna. Podświadomie wiemy skąd się wziął ten dym. Jest w tym życie, ale jednocześnie jest w tym śmierć, bo dym i ogień pochłaniają wszystko i nie zostaje nic.

Jakie będą losy tego obrazu po zakończeniu wystawy?

Wystawa w MDSM będzie otwarta do 22 lipca tego roku. Dalszych planów na razie nie znam. Dostałam kilka propozycji

pokazania tej pracy w USA, ale konkretów jeszcze nie ma.

Anna VanMatre i Jan Karski w 1998 roku, fot. arch. artystki.

Przypisy:

[1] Działaczka polonijna w USA i autorka kilku książek, blisko związana z Janem Karskim, a po jego śmierci propagatorka jego

pamięci i spuścizny. Była prezes Amerykańskiej Rady Kultury Polskiej i była dyrektor Amerykańskiego Centrum Kultury Polskiej w Waszyngtonie.

Portal artystki (w j. ang.): www.annavanmatre.com

Wersja angielska wywiadu na stronie Jan Karski Educational Foundation: www.jankarski.net

https://www.jankarski.net/en/news-and-events/news/the-everlasting-dichotomy.html

---

Zbyt daleko, żeby się

przejmować? – Wywiad z Nicholasem Kristofem.

Wywiad na prawach wyłączności z Nicholasem Kristofem, dziennikarzem z New York Timesa, dwukrotnym laureatem Nagrody Pulitzera, wyróżnionym w 2016 r. nagrodą „Spirit of Jan Karski Award”.

Bożena U. Zaremba

Nicolas Kristof podczas pracy reporterskiej.

Bożena U. Zaremba: Znane powiedzenie, że śmierć jednostki jest tragedią, ale śmierć miliona to tylko statystyka, jest dzisiaj szczególnie aktualne. W jednym ze swoich ostatnich artykułów porównał Pan syryjską dziewczynkę do Anny Frank, tak jakby chciał Pan nadać kryzysowi w Syrii ,,twarz". Uważa Pan, że ,,twarz" jest niezbędna, żeby ludzie zareagowali?

Nicholas Kristof: Myślę, że tak. W moich artykułach, szczególnie z Darfuru, byłem tak sfrustrowany brakiem reakcji, że zacząłem zgłębiać prace psychologów społecznych, szczególnie profesora Paula Slovica. Badał on przyczyny ludzkiej

empatii i jeden z jego wniosków był taki, że czujemy współczucie nie do grup ludzi, ale do jednostek i reagujemy bardziej na historię jednostki. Doprowadziło mnie to do stworzenia „klucza" do empatii w stosunku do światowych problemów. I tego klucza staram się używać w moich artykułach i książkach.

BUZ: Myśli Pan, że wojna w Syrii i kryzys uchodźczy są teraz najbardziej palącą kwestią?

NK: Jest wiele naglących spraw i nie lubię, kiedy wymaga się ode mnie ich wartościowania, jednak na pewno jest to jeden z głównych problemów. Na całym świecie jest ponad 60 milionów uchodźców i migrantów; wojna w Syrii pochłonęła do tej pory około 470 tysięcy ofiar i liczba ta wciąż rośnie. Niestety, jest wiele innych globalnych problemów, które nas zajmują i które szczególnie leżą mi na sercu – ocieplenie klimatu, rozwijający się konflikt w Sudanie Południowym, prawa kobiet czy wyzysk w celach seksualnych.

BUZ: Czyż nie jest to przytłaczające? W innym artykule stwierdził Pan, że bardziej przejmujemy się śmiercią psa niż człowieka. Czy całkowicie utraciliśmy już zdolność współczucia? Wydaje się, że znajdujemy się w kryzysie, także, jeżeli chodzi i o tę kwestię.

NK: Ludzie rzeczywiście czują się przytłoczeni skalą globalnych

problemów, z którymi musimy się dzisiaj zmierzyć, jednak myślę, że ma to związek z tendencją do zdystansowania się do cierpienia na dużą skalę. Każda pojedyncza reakcja na tragedię jest tylko kroplą w morzu potrzeb, jednak twierdzę, że każda pojedyncza kropla ma znaczenie. Być może nie jesteśmy w stanie pomóc 60 milionom przesiedlonych ludzi, ale z łatwością możemy pomóc jednej rodzinie, która straciła swój dom i walczy o przetrwanie. Z punktu widzenia tej rodziny jej przypadek jest do rozwiązania. Najlepszym przykładem jest historia mojej własnej rodziny.

BUZ: Pański ojciec był uchodźcą, prawda?

NK: Zgadza się. Został przyjęty do USA, [jako uchodźca] w 1951 r., co całkowicie odmieniło jego los. A także mój własny. Prawdziwe nazwisko mojego ojca brzmiało Krzysztofowicz. Razem ze swoją rodziną, mój ojciec działał [podczas II wojny światowej] w polskim podziemiu, na szlaku kurierskim. Mojego krewnego Niemcy złapali na gorącym uczynku z mikrofilmami, w naszym majątku przy granicy polsko-rumuńskiej. Inni członkowie mojej rodziny byli pojmani po polskiej stronie i zostali przewiezieni do Auschwitz, gdzie zostali zamordowani. Natomiast mój ojciec wraz kilkoma osobami został schwytany w Rumunii, gdzie Niemcy mieli silne wpływy, ale nie mieli pełnej kontroli. Moja rodzina zapłaciła dużą łapówkę, aby go wypuszczono, ale jeden kuzyn pozostał w więzieniu do czasu, aż

Rumunia przeszła na drugą stronę. Kiedy świętował koniec wojny [podczas mszy] w kościele, Sowieci aresztowali go, bo podejrzewali, że jest szpiegiem polskiego wolnego rządu. Był za bardzo prozachodni. Zesłano go na Syberię, gdzie zmarł w gułagu. Zobaczyłem, więc, jakie koszty poniosła moja własna rodzina w związku z działaniami wojennymi.

BUZ: Czy te doświadczenia miały wpływ na Pańskie poglądy?

NK: Niewątpliwie. Historia mojego ojca na pewno pomogła ukształtować mój pogląd w sprawie uchodźców i uwrażliwiła mnie na ich tragiczne losy. To jeden z powodów, dlaczego tak żarliwie zajmuję się tą kwestią.

BUZ: Jakie według Pana są obowiązki dziennikarza? Zdać raport czy może coś więcej? Podnosić świadomość społeczną, wpływać na opinię czy pobudzać do działania?

NK: Myślę, że wielu z nas zostało dziennikarzami w nadziei, że nasz głos będzie się liczyć. Wydaje mi się, że kiedy tylko informujemy o życiu celebrytów czy o bieżących wydarzeniach politycznych tracimy ważną część tego, czym powinno być dziennikarstwo. Dziennikarstwo może świetnie wpisać zapomniane kwestie do codziennej agendy; kiedy jakaś kwestia nie przykuwa wystarczającej uwagi, możemy ją naświetlić. Można by więc powiedzieć, że zajmujemy się ,,biznesem

oświetleniowym”.

BUZ: Czy czuje się Pan w obowiązku w ten właśnie sposób podchodzić do swojego dziennikarstwa?

NK: Tak, chociaż poświęcenie uwagi danej kwestii nie gwarantuje, że pociągnie to za sobą jakieś działanie, czego doświadczył Jan Karski. Ale na pewno jest to niezbędny krok.

BUZ: Informacja o traktowaniu Żydów w czasie II wojny światowej pojawiła się na ostatniej stronie New York Timesa i niektórzy ludzie twierdzą, że jeśli Facebook istniałby w czasie wojny, to Holokaust nigdy nie miałby miejsca. Podpisuje się Pan pod tym stwierdzeniem?

NK: Byłbym ostrożny w formułowaniu takich stwierdzeń – pół miliona Syryjczyków zostało zabitych i mimo, że mamy Facebooka, świat praktycznie pominął to milczeniem. Zgadzam się z tym, że media społecznościowe, zdjęcia i nagrania przybliżają nam cierpienia z odległych krajów, przez co trochę trudniej je zignorować, jednak, jako ludzie mamy niezwykłą zdolność do odwracania wzroku w sytuacji, gdy naprawdę nie wiemy, co zrobić, kiedy pojawiają się ofiary. Mówimy wtedy, że „to są Żydzi” albo „to są Syryjczycy” – „oni są od nas odmienni”. Więc być może media społecznościowe pomogłyby w czasie II wojny światowej, ale nie podejrzewam, żeby końcowy efekt był

znacząco inny.

BUZ: Podobno zainspirował Pan Melindę i Billa Gatesa do skoncentrowania się w ich pracy charytatywnej na światowych problemach zdrowia publicznego. Co uważa Pan jak dotąd za największe osiągnięcie swojego dziennikarstwa w zachęcaniu ludzi do działania?

NK: Jest kilka takich spraw, na które pomogłem (wraz z innymi) zwrócić więcej uwagi i coś zmienić. Jedną z nich jest Darfur, inną handel kobietami na całym świecie, a także prawdopodobnie zdrowie reprodukcyjne, a szczególnie problem przetoki pochwowej. W każdym z tych przykładów ofiary przyciągają coraz więcej zainteresowania i środków.

BUZ: Napisał Pan wiele książek, między innymi ,,China Wakes" ,,Half the Sky" i ,,A Path Appears" razem ze swoją żoną Sheryl WuDunn. Wyobrażam sobie, że współpraca ze współmałżonkiem może być wyzwaniem.

NK: Ludzie często pytają, jak nam się udaje razem pisać książki i dalej być małżeństwem [*śmiech*]. Prawda jest taka, że jeżeli ma się troje dzieci i jest się w stanie razem je wychowywać, wtedy napisanie razem książki to bułka z masłem [*śmiech*]. Sheryl jest naprawdę wspaniałą pisarką i świetnie redaguje teksty.

BUZ: W jakich okolicznościach po raz pierwszy usłyszał Pan o Karskim?

NK: Miałem bardzo mgliste pojęcie o Karskim, ale książka Samanthy Power ,,A Problem from Hell", w której jest mowa o Karskim, uświadomiła mi, czego dokonał. Zaangażowanie w polskie podziemie rodziny mojego ojca w pewien sposób też mnie do niego zbliżyło.

BUZ: Dlaczego jest on tak ważną postacią?

NK: Z powodu spraw, którymi zajmował się przez całe życie i z którymi my również cały czas musimy się mierzyć:, w jaki sposób my, jako społeczeństwo reagujemy na prześladowania i cierpienie w odległych krańcach świata. Są takie niezwykłe postaci w polskim ruchu oporu, jak Jan Karski i Witold Pilecki, których dokonania są po prostu zadziwiające. Oni poświęcili tak dużo i starali się wykrzyczeć całemu światu „Zwróć uwagę!" Ale świat pozostał niewzruszony. Dzisiaj mamy innych „Karskich", którzy próbują robić to samo, wyeksponować pewne problemy, co sprawia, że Jan Karski jest ciągle aktualny.

BUZ: W co Karski byłby dzisiaj zaangażowany gdyby żył? O co by się troszczył?

NK: Myślę, że kryzys uchodźczy zajmowałby wysoką pozycję na

liście spraw, którymi by się zajmował. Od czasów II wojny światowej nie widzieliśmy tak wielu ludzi w stanie desperacji, opuszczających swoje domy, ryzykujących swoje życie w nadziei na poprawę losu. I znowu nikt nie działa dostatecznie zdecydowanie, aby odpowiedzieć na ich potrzeby. Chodzi mi nie tyko o ich przyjęcie, ale również o poradzenie sobie z przyczynami, przez które ci ludzie tracą swoje domy, co koniec końców jest odpowiednią drogą do rozwiązania ich problemów.

BUZ: Myśli Pan, że popularyzacja spuścizny Karskiego może pomóc rozwiązać dzisiejsze problemy i konflikty?

NK: Tak, myślę, że historia Karskiego jest tak uniwersalna, że także dzisiaj ukazuje nam właściwe wzorce postępowania. Karski jest niezwykłym przykładem odwagi i determinacji, więc może służyć, jako inspiracja nie tylko do empatii, ale także do podjęcia akcji w imieniu tych, którzy tego potrzebują.

Uroczystość wręczenia „The Spirit of Jan Karski Award" odbyła się we wtorek, 1 listopada o 18:30 w The New School w Nowym Jorku.

http://www.jankarski.net